

Żywoty na podśluchu

Krzysztof Hoffmann

Każdy lubi czasem podglądać innych, tylko nie każdy się do tego przyznaje. Motywacja może być różna: od poczucia wyjąłowności własnego poletka i towarzyszącego mu przekonania, że życie jest gdzie indziej, przez niezbyt zdrową, odrobinę voyeurystyczną ciekawość, po – powiedzmy – pasję poznawczą ornitologa. Nie tłumacząc się z własnych przesłanek, powiem, że podglądałem sobie „LONDON REVIEW OF BOOKS”, a tam co...? Podglądają innych!

Być może warto się zastanowić, dlaczego nie ma dzisiaj zbyt wiele miejsca dla klasycznej beletrystyki, a rekordy popularności (pomijając poradniki i wydawnictwa albumowe) biją książki umieszczone na antypodach możliwości fikcji. Z jednej strony, niepretendujące do udawania prawdy produkcje fantasy i science fiction, zwłaszcza fantasy (wytrwale utrzymujący się na listach bestsellerów G.R.R. Martin, Christopher Paolini... w żaden sposób nie twierdzą, że pisarze tej samej wartości). Z drugiej, jakkolwiek to nieostra kategoria – tak zwana literatura faktu. Najlepiej sprzedającą się książką lipca na amerykańskim Amazonie były wspomnienia Jaycee Dugard, przez 18 lat żyjącej w „niewoli – według określenia publicysty NYT – której nie wymyśliłby żaden

pisarz”. Jakkolwiek by była odpowiedź, faktem pozostaje, że świat anglojęzyczny nie od dzisiaj wykazuje słabość w drugiej grupie do memuarów, biografii... wszelkich większych i mniejszych żywotów innych osób. Kogo aktualnie się podgląda?

Największą niespodzianką jest potężny esej Jacqueline Rose poświęcony Róży Luksemburg (LRB, 16.06.2011; ten sam numer odnotowuje książki o rządach Eisenhowera w 1956 roku i króla Jakuba I Stuarta). Bezpośrednim impulsem stały się opublikowane w lutym listy działaczki polskiego pochodzenia (w ponad połowie do tej pory nietłumaczone na angielski, choć w tym akurat wydaniu przekład opiera się całkowicie na edycji niemieckiej, nie zważając zbyt na to, w jakim języku były pisane). I jest to jaskółka, która zapowiada wiosnę – jak donosi Rose, planowane jest kompletne, 14-tomowe wydanie pism Luksemburg po angielsku.

Życie „orlicy rewolucji”, jak nazwał ją Lenin, rozpięte było pomiędzy fizycznym zniewoleniem a gloryfikacją wolności i demokracji, bez których żaden socjalizm, jej zdaniem, nie był możliwy, pomiędzy wielokrotnymi więzieniami (które jednocześnie pozwalały sięgnąć najlepszych pokładów talentu pisarskiego) a niestępliwością programu. Być może dlatego jej korespondencja, tak „jak wszystko, czego się dotknęła”, doprowadzona jest do ekstremum, choć zarazem – zauważa krytyczka – Luksemburg, „ku bezgranicznemu rozgorzeniu swych oponentów i krytyków, wyniosła niepewność do rangi zasady, wyznania wiary rewolucjonistów”.

Krytyków jej nie brakowało, a wciąż, chcąc być konsekwentną i w zgodzie z samą sobą, zdobywała kolejnych. Skoro utożsamiała jakiegokolwiek przejawy nacjonalizmu z przemocą, zrozumiałe jest dystansowanie się wobec wła-

snych korzeni, choć wyrażała to na swój, budzący nieporozumienia sposób. Dla Luksemburg cierpienia Żydów były tak samo istotne, jak cierpienia zbieraczy kauczuku czy mieszkańców Afryki. „Nie ma w moim sercu – pisała w 1917 roku do Mathilde Wurm – żadnego specjalnego zakamarka zarezerwowanego dla gett; jestem w domu wszędzie tam, gdzie są chmury, ptaki i ludzkie łzy”. Zdecydowanie jednak trudno wyczytać z tak zarysowanej postawy ideologicznej panfilantropii, aby doradzały jej „wściekłość, [...] nienawiść nie tylko do Polaków, ale także do Żydów, Litwinów, Gruzinów, Węgrów”. Te ostatnie słowa to już rodzima ocena rewolucjonistki – z niedawnej rozmowy z Jarosławem Markiem Rymkiewiczem (Polskość to nasze szczęście, „Uważam Rze” z 4.07.2011).

W eseju Rose autorka Rewolucji rosyjskiej jawi się jako jedna z pierwszych myślicielek (i myślicieli), która wykorzystywała filozofię Marksa do opisanego globalizacji, jako postać, która nie chciała być mistrzem ceremonii rewolucji, lecz „jej nauczycielem, czy nawet jej psychoanalitykiem”, jako potrójnie wykluczona (fizycznie, płciowo, etnicznie; kaleka kobieta, wyraźnie utykająca Żydówka), która każdy gest odrzucenia przekuwała w niezłomność etc. Mnogość wcieleń, jakie zostają ujawnione przez brytyjską badaczkę, skłania do myślenia, że, po pierwsze, być może niesłusznie polska myśl lewicowa tak rzadko sięga do pism Róży Luksemburg, a po drugie, jest powód do zażdrości. Gdyby w Polsce udało się poświęcić w wysokonakładowym dwutygodniku kulturalnym siedemnaście pełnych kolumn gazetowych zbiorowi listów zagranicznego działacza, kolumn krążących wciąż wokół jednego pytania (o granice rewolucji), być może nie musielibyśmy narzekać na kondycję debaty politycznej. Najsyntyniejsze zdanie Luksemburg głosi wszak, że „wolność jest zawsze

wolnością do myślenia inaczej” – także wobec panujących redakcyjnych polityk. Zamiast lekcji lektury mamy natomiast lekcję silnych tez: „To był prawdziwy komunistyczny potwór”, twierdzi Rymkiewicz (Polskość to nasze...).

Zupełnie inną postacią był zmarły w 1995 roku Ernest Gellner, w Polsce znany z kilku książek wydanych w latach 90., którego biografię intelektualną pióra Johna Halla przybliżył Stefan Collini (LRB, 2.06.2011; w tym samym numerze recenzja z dwóch niezależnie wydanych przez Oxford i Yale nowych książek o Galileuszu). Gellner, Brytyjczyk urodzony w Czechosłowacji, jakkolwiek nieobojętny na sprawy polityki, w niczym nie przypominał intelektualisty, którego wizerunek próbuje narzucić dyskurs amerykański. Sam był apolityczny, co biograf na różne sposoby mu zarzuca. Budził kontrowersje i spory, pozostał jednak pisarzem akademickim, najlepiej realizującym się w naukowym eseju, niechętnie uczestniczył w społecznym głównym nurcie. Jego najlepiej znana książka, *Narody i nacjonalizm*, opublikowana na rok przed datą zaznaczoną proroctwem Orwella, zostaje tu wpisana w szerszy projekt socjologiczny, w którym nacjonalizm jest efektem określonego momentu historycznego, nowoczesności; taka optyka wynikała z faktu, iż, jak utrzymuje Hall, „nie było innego współczesnego myśliciela, który sytuowałby się tak blisko Webera w twierdzeniu, że nasze czasy trzeba odczarować”.

Prawdziwą gratką dla podglądaczy zdawać by się mógł z kolei pierwszy tom autobiografii Marka Twaina (pisze o nim Thomas Powers w LRB z 28.04.2011). Całość obmyślona została na trzy tomy i choć wydana książka zawiera drukowane już wcześniej materiały, to po raz pierwszy ukazują się one w całości, nieskrócone, w brzmieniu zaplanowanym przez Twaina. Właśnie „w brzmieniu” – po paru nieudanych +

próbach autor, unieśmiertelniony przez Przygody Tomka Sawyera, stwierdził, że autobiografię trzeba podyktować, bez wcześniejszego planu, tak jak się jawi w danej chwili. Wyszedł miszmasz ciepłych i żartobliwych anegdot, wspomnień, smutnych opowieści osnutych wokół śmierci ukochanej córki. Podobno Hemingway uznał Przygody Hucka Finna za książkę, z której wyrasta całe amerykańskie pisarstwo; Twain zamroził druk autobiografii na 100 lat od jego śmierci (właśnie minęło), aby mógł mówić uczciwie i szczerze; NYT z miejsca domagał się drugiego tomu, pisząc, że książka stała się nieoczekiwanym hitem, a małe drukarnia, w której Autobiografia została złożona, musiała specjalnie wynająć większe ciężarówkę, aby podołać ilości zamówień. Trudno o lepszą reklamę, a mimo wszystko, choć sam nie wiem dlaczego, nie ciągnie mnie w kierunku tej lektury.

Z prawdziwą przyjemnością natomiast przyrzalibyśmy uważniej pierwszej od 40 lat biografii Charlesa Bradlauga autorstwa Bryana Nibletta, którą omawia Ferdinand Mount w tekście o sugestywnym tytule Powstań z kolan (LRB, 30.06.2011). Bradlaugh, urodzony dwa lata przed Twainem, był dla ateizmu jego czasów tym, kim pół wieku później był Bertrand Russel, a dzisiaj jest Richard Dawkins. Na jego pogrzeb musiały zostać podstawione trzy dodatkowe pociągi (w jednym z nich jechał Gandhi). Broszura na temat antykoncepcji napisana wspólnie ze współpracownicą, żoną wielbionego, którą z wzajemnością pokochał, Annie Besant, rozeszła się w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy i była wymiernym wkładem w świadome planowanie rodziny oraz obyczajowość (tak samo jak krótki pobyt w więzieniu, który był konsekwencją tej publikacji). W sprawie Bradlaugh kontra Gossett, XIX-wieczny Prometeusz przegrał, ale orzeczenie, iż „to, co zostaje powiedziane lub

uczynione w murach Parlamentu, nie może być przedmiotem rozpatrywania przez sąd”, tylko przez sam Parlament, pozostało.

Republikanin, przeciwnik socjalizmu, orędownik prawa wyborczego kobiet, skandalista – jest być może ważny przede wszystkim dla kultury brytyjskiej. Jednak w swych pismach potrafi brzmieć nadzwyczaj współcześnie; pisał: „Ubóstwo ducha nie jest cnotą. Uczciwość ducha, męstwo ducha, wyrazisty, zdecydowany odpór temu co niesłuszne i domaganie się słusznego, winny być nauczane zamiast owego ubóstwa ducha, które pozwala ludziom o duchu dumnym i wyniosłym na gnębienie i deptanie najwyższych praw ludzkich”. Podglądanie biografii Bradlauga nasuwa refleksję, że niektóre debaty (choćby tylko nasze dotyczące edukacji: usunięcie religii ze szkół, zupełnie świeży, piękny apel Andrzeja Szahaja o obowiązkową filozofię na wszystkich etapach kształcenia, kontrowersje wokół przygotowania do życia w rodzinie) toczyliśmy z zaciętością godną lepszej sprawy tylko dlatego, iż tak jak twierdzimy, że nikogo nigdy nie podglądaliśmy, tak samo udajemy, iż nie wiemy, że nie raz były już one rozstrzygane...

Tymczasem, zerkając na to, co się dzieje na rodzimym podwórku czasopism (przy garażu poetyckim), odnotowuję pojawienie się pierwszego numeru „PRZYSTANKU LITERACKIEGO” – darmowego pisma wydawanego przez Biuro Literackie we Wrocławiu (i zapewne też tylko tam dostępnego). Jak na pismo darmowe i promocyjne (teksty są li tylko o książkach wydanych przez BL), prezentuje się całkiem smakowicie z dobrym gronem piszących. Pierwszy numer sygnuje nazwisko Wojaczka – tutaj podglądactwo jest dość nieszablonowe: w geście prozopopei pojawia się wywiad-centon Bogusława Kierca ze zmarłym dokładnie 40 lat temu poetą. ●